

Wyspa

KWARTALNIK LITERACKI

nr 2 (54) 2020

Janusz Majewski

Jarosław Mikołajewski

Martyna Deszczyńska

Dorota Suwalska

Daria Brzezińska

ILUSTRACJE:

Mirosław Bańko
Wojciech Chmielewski
Aleksandra Domańska
Krzysztof Jan Drozdowski
Danuta Gałecka-Krajewska
Wacław Holewiński, Izolda Kiec
Ryszard Kołodziej, Marcin Libicki
Karol Maliszewski, Piotr Milewski
Anna Rozwadowska-Zając
Piotr Wojciechowski
Tomasz Wojewoda
Tomasz Zbigniew Zapert
Jan Zieliński

ISSN 2083-7720

9 772083 772204 02

Wyspa
KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 2083-7720
nr 2 (54)
www.kwartalnikwyspa.pl

ADRES REDAKCJI: 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 6/8

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Dobrołęcki (dobrolec@warman.com.pl)

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
Ewa Tenderenda-Ożóg
(kontakt@kwartalnikwyspa.pl)

PROZA: Wojciech Kaliszewski, Rafał Wojasiński

POEZJA: Katarzyna Bieńkowska (katarzyna.bienkowska@gmail.com)

FELIETONY: Mirosław Bańko, Karol Maliszewski, Piotr Wojciechowski, Jan Zieliński

GALERIA: Małgorzata Karolina Piekarska

KRONIKA REGIONALNA:
Lilla Latus (lilla.latus@neostrada.pl)

ILUSTRACJE W TEKŚCIE I NA OKŁADCE:
Daria Brzezińska

OPRACOWANIE GRAFICZNE, SKŁAD:
TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Biblioteka Analiz

WYDAWCA: Biblioteka Analiz Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Ewa Tenderenda-Ożóg

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo zmian i skrótów, w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania oraz innych zmian. Prosimy o przesyłanie tekstów w formacie doc lub rtf o objętości do 30 tysięcy znaków ze spacjami w przypadku prozy i esejów oraz do 10 wierszy w przypadku poezji.

Prenumeratę można zamawiać w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju (informacje pod numerem infolinii 801 205 555), a także przez stronę internetową Kwartalnika Literackiego WYSPA: www.kwartalnikwyspa.pl

W NUMERZE

PROZA

Janusz Majewski
Laska z głową psa. 4

Piotr Milewski
My, czyli kto? Manifest (ponad) pokoleniowy 23

Anna Rozwadowska-Zając
(Za) Sypiam z Pilchem i się budzę. Historia bardzo osobista, czyli jak się pozbyć ex kochanka. 33

Wacław Holewiński
Krew na rękach moich 66

Wojciech Chmielewski
Do Włodzimierza Żabotyńskiego z Warszawy 98

POEZJA

Jarosław Mikołajewski
Do jutra 13
Początek wieczności. 14
Się czuję. 15
Opuszczają cudzoziemcy prowincję wuhan 17
Ci o wspólnym niemieckim nazwisku na a 18

Ryszard Kołodziej
Król Dawid 27
Sztuka pisania. 28
Warunek 28

Dorota Suwalska
*** [mogę zrzucić ten] 82
*** [myślę: umarłam] 84
*** [dźwięk nadaje kształt ciszy] 84
*** [jemy z synkiem lody] 84
*** [I co Puszku, już nigdy] 85
*** [Była sobie raz królewna] 86
*** [Musisz mieć coś do obrony] 86
*** [Wymyśliłam i zrealizowałam ciasto] 86

Tomasz Wojewoda
Zombie. 90
Z serca 91
Geografia podniebna 91
Relanium. 92
Fotografia post mortem 92

Danuta Gałecka-Krajewska
Powiedz 103
Przyzwolenie wstępne. 104
Ruchy materii 105
Adresat zbiorowy 106

ESEJ

Martyna Deszczyńska
Informacja, biurokracja i era transludzka 36

Marcin Libicki
Vivat Europa! 87

Krzysztof Jan Drozdowski
Na przekór szerzącej się hipokryzji . . . 107

WYWIAD

Poetka zdradzana
Z Izoldą Kiec rozmawiał Tomasz Zbigniew Zapert 52

KRONIKI I KALENDARIA

Aleksandra Domańska
Notatki szóste. 77

KRONIKA
Redaguje Piotr Dobrołęcki 146

Wydanie dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

FELIETONY

Jan Zieliński
Mandarynki. Krzyżówki. Karolinki. 29

Mirosław Bańko
Słowa, słowa... 21
Piotr Wojciechowski
Kultura jako przestrzeń rozmowy 61

Karol Maliszewski
Olga. Notatnik (3) 93

GALERIA NA „WYSPIE"

Małgorzata Karolina Piekarska 96

PERYSKOP

Piotr Dobrołęcki
Z redakcyjnej poczty. 126

RECENZJE

Dragan Dragojlović
Niezwykłe przedsięwzięcie (Grzegorz Łatuszyński, *100 współczesnych polskich poetów. Antologia*) 132

Wacław Holewiński
Czy Polacy mogli więcej? (Bogdan Musiał, *Kto dopomoże Żydowi*). 135

Zbigniew Masternak
Polska jak obwarzanek (Piotr Marecki, *Polska przydrożna*) 137

Lilla Moroz-Grzelak
Sztuka pisania o przeszłości (Wiesław Walkiewicz, *Słowiańszczyzna południowa między przeszłością a przyszłością*) 139

Wojciech Kaliszewski
Zimne morze (Maciej Bieszczad, *Niteczka*) 143

NASI AUTORZY 153

Janusz Majewski

Laska z głową psa

Zaparkowałem na niebieskiej kopercie, sprawdziłem czy karta niepełnosprawnego jest za szybą i ruszyłem pod arkadami, podpierając się laską, wlokąc się noga za nogą i przystając, aby niby oglądać wystawy, a tak naprawdę, aby przetrwać kłucie bólu w biodrze. Teraz trzeba sforsować ruchliwą jezdnię i torowisko tramwajów, miejsce wyjątkowo niebezpieczne, aby dojść do celu i nacisnąć dzwonek galerii. Udało się, dzwonię.

Pan Kazimierz jak zwykle siedział na zapleczu i wertował stare katalogi aukcyjne. Podniósł okulary na czoło, spojrzał na mnie z błyskiem triumfu:

– Zdecydował się pan!

Wytrzymałem to spojrzenie i powiedziałem:

– Powolutku. Pozwoli pan, że usiądę?

Podsunął mi krzesło.

– Drogi panie Kazimierzu, niech pan spojrzy, co przysłał mi Marek – podsunąłem mu swój telefon.

Pan Kazimierz zsunął okulary na oczy i zaczął się wpatrywać w przysłany mi e-mailem obrazek. Z satysfakcją obserwowałem, jak rzednie mu mina.

– No i co? – wymamrotał.

– Te trzy laski są do kupienia za 200 euro, 900 złotych.

– No tak, ale…

– Też są sygnowane. Dwie. W tym ta najpiękniejsza, z głową psa.

– Więc?

– To ja się pytam. W takim razie, ile?

Pan Kazimierz wzruszył ramionami, podniósł się, pochylił i wydobył z szafy laskę. Opuściłem wzrok, aby nie dostrzegł w nim błysku pożądania, jakie mnie paliło od kilku dni.

– Jak panu zależy na sygnaturze, to proszę, tu jest. I wie pan co, doszedłem do tego, kto to jest PF, przecież punca jest rosyjska!

W tym momencie weszła pani Alina, nieśmiało zaszeptała:

– Przyszedł ten prezes, mówi, że się śpieszy, co mam zrobić?

Pan Kazimierz zawahał się:

– Proszę… Dobrze, niech wejdzie! Pan mecenas wybaczy, to zajmie chwilkę…

Skinąłem głową i sięgnąłem po laskę: była przepiękna, srebrna rękojeść w kształcie jaszczurki, osadzona na pierścieniu obejmującym hebanowy kij. Wyjąłem lupkę, żeby przyjrzeć się puncom, ale w tej chwili pani Alina wprowadziła „prezesa", więc przeniosłem wzrok na niego: gość około pięćdziesiątki, w obcisłych chinosach na pałąkowatych nogach, zza paska spodni wylewało się brzuszysko, kusa marynareczka, złoty Rolex i gęba troszkę oskrobanego buraka – klasyka! Człowiek sukcesu! Taki on prezes, jaki ja mecenas, ale pan Kazimierz musi tytułować. Prezes nawet nie skinął głową, od drzwi rzucił pytanie w kierunku pana Kazimierza:

– No jak, moja sprawa, szefuniu? Będzie coś? – zapytał głosem zdumiewająco wysokim, wręcz falsetem kastrata.

Pan Kazimierz podniósł się zmieszany:

– Przykro mi, panie prezesie, gość nie chce sprzedać.

– Mówiłem panu: cena nie gra roli.

– Tak, ale on nie chce. Widzi pan, dziś o dobrego Kossaka naprawdę trudno… Ale będziemy szukać.

Prezes skrzywił się:

– Szukajcie, aż znajdziecie! Jesteśmy katolikami, co nie? No, lecę. Będę dzwonić! A tymczasem niech pan laskami handluje, ale lepiej żywymi! Radzę założyć burdel – najlepszy biznes na świecie!

Zarechotał zachwycony swym dowcipem i wypadł z kantorka bez żadnego gestu pożegnalnego. Pan Kazimierz westchnął i bez słowa wyszedł na zaplecze. Wrócił, niosąc obraz w bogatej, złotej ramie, obrócił go do mnie:

– To jest ten Kossak.

Rzeczywiście, typowy: ułan, koń, brzozowy lasek.

– Nie mogę mu go sprzedać.

– Dlaczego? Przecież zapłaci, ile pan chce.

– Widzi pan, to jest kopia. Bardzo dobra, ale kopia. On kopii nie kupi, jak mu powiem, a jakbym nie powiedział, a on by kupił i wykrył, że to kopia, to jak bym wyglądał?

– Może jednak kupi, jako kopię?

– Nie, nie! Ale inny kupi, jako kopię i nieźle zapłaci. Ten z kolei to „filozof". Powiedział mi kiedyś: „Noszę złotego Schaffhausena, to chińska podróba, ale jeśli ja go noszę, wszyscy myślą, że oryginał!". Tak samo będzie z Kossakiem. Ma już takie false: Gierymskiego i Fałata – wszyscy goście się zachwycają! Ale ta laska nie jest podróbą! – zażartował.

– Jasne, że nie jest. Kto by podrabiał laski? Dlatego je zbieram. Same oryginały. Oczywiście nie mówię o wyrabianych w manufakturach, chociaż takie też zbieram, jeśli trafię na coś ciekawszego – odpowiedziałem, patrząc mu ufnie w oczy.

Westchnął:

– Dlatego panu opuszczę. Niech będzie 500.

Odliczyłem pieniądze i położyłem na biurku, popatrzył, ale nie sięgnął po nie. Chciał dać do zrozumienia, że mi ufa.

– Ale to nie jest Fabergé, jak pan myślał, chociaż punca jest rzeczywiście petersburska. Te PF są wyryte później, może inicjały właściciela? – powiedziałem, sięgając po kupioną laskę z dreszczem porównywalnym z intymnym dotykiem kobiety.

– Albo oszusta, który mi ją przyniósł. To on twierdził, że Fabergé. Przepraszam pana, mecenasie. Powinienem ugryźć się język, nie kompromitować przed panem. Przecież to nie są inicjały PCF, Peter Carl Fabergé.

Cały wieczór siedziałem w fotelu, słuchając Bartoka i kontemplując nowy nabytek, na którego cześć pozwoliłem sobie nalać kieliszek sherry. Rączka laski świetnie leżała w ręce, wysokość była idealna, będę mógł jej używać na specjalne okazje, ale będzie też ozdobą kolekcji. Wziąłem dużą lupę i przyglądałem się srebrnej jaszczurce, była przepiękna: lekko uniesiona głowa, rozczapierzone palce czujnie rozstawionych nóg, jak gdyby szykowała się do czmychnięcia na widok niebezpieczeństwa, i oczy jakby zaniepokojone. Teraz dopiero zauważyłem, że gałki oczne są oszlifowane w brylantowy szlif, dlatego zapalają się na moment, kiedy w ruchu łapią światło. Czyż to możliwe? W srebrze? Rosyjska punca 84 nie budziła wątpliwości. Wziąłem silniejszą lupę: ależ to małe brylanciki wprawione w oczka jaszczurki! Czyżby pan Kazimierz tego nie zauważył? A może zauważył i dlatego tak się drożył? Uradowany, przeszedłem się po salonie, podpierając się laską, a nawet wykonałem nią kilka eleganckich ewolucji spacerowych, omal nie włożyłem monokla, wystarczyło mi, że sobie wyobraziłem jak wrzucam rękawiczki do cylindra i podaję go fagasowi wraz z laską, wysiadając z powozu w sieni pałacu wybrukowanej dębową kostką, jak w Zwingerze albo w willi Salviattich we Florencji, odwiedzając hrabinę Łabińską.

W poczuciu sukcesu położyłem się spać, sięgając po pierwszą z brzegu ze stosu książek na moim stoliku nocnym, bo tak nazywam teraz ten mebelek, tłumacząc niemiecką nazwę *Nachtkasten*, a spychając niewdzięcznie w zapomnienie *nakastlik*, jak go nazywała moja śp. babcia we Lwowie. Na jej wspomnienie podrapałem się nawet w łydkę, bo przypomniałem sobie, że miała trochę krępujący mnie zwyczaj zdrapywania moich strupków, których zawsze miałem sporo, biegając wśród kłujących krzewów w jej ogrodzie. Robiła to wtedy, kiedy leżeliśmy razem w jej pachnącym walerianą łożu i opowiadała mi kolejną okrutną bajkę braci Grimm. Kutasy, to znaczy frędzle baldachimu nad łożem, rzucały cienie na pokryte jedwabiem ściany, które wisiały nade mną jak groźba, jak przestroga przed czasami, które nadejdą. Zresztą nadeszły, ale to inna historia.

Na razie otworzyłem tom felietonów, które wprawdzie mnie lekko nudzą, ale też skutecznie usypiają i za sprawą Marai'ego przeniosłem się do przedwojennego Budapesztu. Szedłem z nim pod górę uliczką w Budzie i już mieliśmy wejść do jakiejś winiarni, już poczułem na języku smak Tokaju, gdy książka wypadła mi

z rąk, a ja, zanim opadły mi ostatecznie powieki, ucałowane podstępnie i niby czule przez Hypnosa, brata Tanatosa, zdołałem jeszcze nacisnąć wyłącznik światła w kształcie pięknie cyzelowanej gruszki w stylu *art déco*, którą zręcznie przywrócił do stanu używalności nieoceniony pan Jarek. W ostatnim ułamku sekundy zdążyłem szepnąć: *spierdalać!*, pod adresem obu braci. Tanatos czmychnął, bo to gość strachliwy, wahający się, chociaż, skurwysyn, bezwzględny, jak mało kto, ale Hypnos nie dał za wygraną i z przymilnym, fałszywym uśmiechem wciągnął mnie w swoją matnię.

Hypnos jest kinomanem, więcej: potwornym, grafomańskim scenarzystą, reżyserem i montażystą *in one*. W Hollywood „Maliny" miałby murowane. Zwłaszcza za montaż. Chociaż w jakimś tam Sundance może by go okrzyczeli geniuszem awangardy. Mnie ten montaż męczy, chociaż czasem okropnie śmieszy, przez cudowny absurd, moim zdaniem, niezamierzony. Częściej jednak jego toporna symbolika mnie żenuje, a nawet wścieka. Jak można stworzyć taką scenę: „Jadę taksówką w Nowym Jorku z jakimś bardzo eleganckim panem w pięknym, jasnym garniturze z cudownej kaszmirowej wełenki w kratkę Prince de Galles. Ukradkiem sprawdzam palcami połę jego marynarki: tak, to Lama Jersey. Zatrzymujemy się pod Waldorff Astorią (znowu to *art. déco*, scenografów wynajął dobrych!), wysiadam, kierowca taksówki, czarny, uśmiechnięty, starszy gość odwraca się i wręcza mi piękne, czerwone, nadgryzione jabłko. *Welcome to New York, sir!* – mówi, a ja przeżywam torturę wstydu, bo nie wiem czy nie powinienem też ugryźć, a trochę brzydzę się czarnucha".

Budzę się i zastanawiam się, kim był ten elegancki pan? Po co mnie przywiózł do hotelu? Czyżby to sam Hypnos, Esq.? A może jego braciszek, Mr. T.? Dywagacje przerywa nagły atak strachu: a walizki?! Gdzie są moje walizki?! Chyba miałem jakiś bagaż, nie wejdę do hotelu bez bagażu, jak na jakąś schadzkę! Troska o bagaż ustępuje pod wpływem zażenowania tandetnym symbolizmem sceny: nadgryzione jabłko, znak Nowego Jorku. Nigdy nie przepadałem za Apple (ten tekst piszę na PC!). Chcę się wyrwać z zamroczenia tym głupim seansem, wstaję z krzesła w kinie pana Hypnosa, nerwowo poszukuję po kieszeniach biletu, zamierzam reklamować w kasie, że film był głupi i nie było zakończenia, rozglądam się za napisem EXIT, wtedy znowu atak paniki, a jeśli napisy zrobił jego brat, Tanatos?

Z odsieczą przychodzi mój pęcherz naciskany przez rozbrykaną prostaczkę. Oto trafna nazwa tego gruczołu, to nie prostata, to prostaczka! Jej nie obchodzą okoliczności: można brać ślub kościelny, przemawiać na pogrzebie, przechodzić po linie nad przepaścią, ją to gówno obchodzi. W każdej chwili może żądać od dowolnego mężczyzny w wieku ca. 55 + natychmiastowej mikcji, od każdego! Nawet od wojskowego! Myślisz, że jesteś bezpieczny, bratku? Lepiej zacznij rozglądać się za kibelkiem, bo zwieracz może nie wytrzymać i zeszczasz się w te swoje spodnie *moro!* To zresztą jest trochę mniej groźne, na moro nie widać plam. Sąsiedni koleżka-zwieracz też może narobić (sic!) kłopotu… To wyjątkowo szemrane

towarzystwo, bez kultury, nieucywilizowane! Tak, tak, księże Prałacie, jak pęcherz przypili – nie ma zmiłuj, nawet przy ołtarzu, święty Boże, nie pomoże!

Stałem nad muszlą długo, prawie w ciemności, tylko w poblasku nikłego światła dochodzącego z sypialni i cierpliwie, choć bardzo wolno, oddawałem mocz. Sen mnie znów morzył, ale walczyłem z nim nieustępliwie. Natrętnie zjawiał się wysłannik tego przeklętego kiniarza, jakiś osobnik, chyba marynarz, bo miał kołnierz marynarski, co prawda przy stroju krakowskim to pretensjonalne, ale kiedy wiatr podwiewał, to kołnierz tworzył na chwilę piękne tło dla rogatywki z pawim piórem. Efekt wręcz operowy. Ponadto dla zaakcentowania przynależności do ludzi morza, Krakowiak cały czas machał chorągiewkami sygnalizacyjnymi, pracowicie nadając sygnał SOS, *save our souls!* Naiwny, jak się nie ma duszy, jak ją ratować?!

Wykapałem do ostatniej kropli i wróciłem do łóżka. Nakryłem się kołdrą całkowicie, z głową, i zasnąłem jak kamień, bez snów. Obudziłem się, kiedy poczułem, że ktoś mnie liże po twarzy ciepłym, miękkim językiem. Serce skoczyło mi do gardła.

– Szura? – szepnąłem. – Szura, wróciłaś, najdroższa?!

Usiadłem gwałtownie na łóżku i wpatrywałem się w ciemny kształt głowy na mojej poduszce. Tak to ona, Szura, moja ukochana ogarzyca! Zrujnowała moje małżeństwo, moja żona nazwała mnie sodomitą na rozprawie rozwodowej, co mnie zawstydziło, bo zobaczyłem, że pani sędzia nerwowo przeszukuje Google w smartfonie, aby się dowiedzieć, co skarżąca ma na myśli. Ale przecież Szura zginęła pod kołami samochodu na placu Inwalidów 25 lat temu! Cud zmartwychwstania?! A może to Lola, ale Lola też umarła, nie zapomnę mglistego poranka, kiedy zakopaliśmy ją na naszym zwierzęcym cmentarzyku nad jeziorem, owiniętą w grubą folię, która wyglądała jak mleczny welon i koiła żal po niej. W uszach miałem głos Marleny Dietrich: *Ich bin die fesche Lola, der Liebling der Saison…*

Więc raczej Szura…

– Ja nejsem Szura, sem Milenka. Ne pamatuješ?

Odchyliła kołdrę: w mroku dostrzegłem zarys pięknego, nagiego kobiecego ciała. Błysnąłem dyskretnie latarką, którą zawsze mam pod poduszką, ostre światło ujawniło na moment wszystkie cudowne szczegóły: bujne piersi, lekko sklepiony brzuch, zapraszający trójkącik łona, długie, wysmukłe nogi, ale głowa… Głowa była psia! Pies, który mówi? Coś tu nie gra!

– Milačku moj, lasko moja! Pod'! – rozwarła gościnnie ramiona.

Wtuliłem się w nią z ufnością dziecka, stęsknionego za mamką o mlecznych piersiach i jak dziecko przyssałem się do jej pięknego sutka.

– Už ne pamatuješ? W Libercu sem ti řikala: ne spichej, ne spichej, tak ne spichej i ted'!

Zaraz, zaraz, coś mi się przypomina: Szura, jak ze mną spała, kładła się od ściany, a potem zapierała się o nią, rozprostowywała łapy i spychała mnie na

krawędź tapczanu, musiałem walczyć, żeby nie spaść, co się zresztą raz zdarzyło. A potem w Libercu, gdy Milenka tak szeptała, myślałem, że mam ją nie spychać z łóżka, nie rozumiałem, że to znaczy *nie śpiesz się!*

– Ne spichej, ne spichej!

– Ne budu, ne budu – wymamlałem, nie wypuszczając z ust jej sutka. Kątem oka zobaczyłem na jej pełnej piersi rozczapierzone paluszki maleńkiej, niemowlęcej rączki. Czyżby to była moja dłoń? Czyżbym tak zmalał? A może jest nas dwóch?! Oderwałem się na chwilę od ssania, zresztą opiłem się tym mlekiem, jakby to było co najmniej jakieś *Liebfrauenmilch* z Reingau czy Palatynatu i dałem gówniarzowi po łapie. Uciekł, ale dlaczego zabolał mnie grzbiet dłoni?

Miałem potężny zamęt w głowie, więc wolałem ją wtulać między jej piękne piersi, gdzie czułem się bezpieczny i beztroski, jak nigdy. Starałem się nie myśleć, że to dorodne, kobiece ciało ma głowę psa, mówi ludzkim językiem i to po czesku. W końcu lepiej, że mówi, a nie gryzie, a czeski język kocham nad życie. Zresztą nie miałem głowy do refleksji, bo zaczęliśmy się kochać i muszę przyznać, że całą ludzką *ars amandi* miałem w tamtej chwili ochotę wsadzić wszystkim żałosnym autorom powieści erotycznych od nr 69 do 365 za przeproszeniem: w dupę. Milenka wzięła mnie, można powiedzieć, za rękę i wprowadziła do rajskich ogrodów miłości cielesnej i duchowej, jakiej ludzki umysł nie jest w stanie nawet sobie wyobrazić. Czułem, że tonę w jakimś cudownym jeziorze rozkoszy, pogrążam się w coraz głębszych toniach perwersji, coraz mocniej wkręcają mnie wiry ekstazy, wbijając mnie w dno zatraty, ale wtedy odbijam się od jego alabastrowej gładzi, jak od materaca kultowej firmy szwedzkiej Hästens i wystrzelam nad powierzchnię, jak pocisk rakietowy z atomowej łodzi podwodnej skierowany w stolicę wroga. Ale rakieta zwalnia i łagodnym lotem koszącym opada z powrotem na ziemię, przechwycona przez niezawodny BMD (Ballistic Missile Defence), kierowany przez Milenkę. Szczepieni w jeden kłąb zmysłów, lądujemy na środku polany jakiegoś tropikalnego lasu, w kręgu czarnych ludzi, którzy na nasz widok przestają bić w swoje głuche bębny, zamierając w ciszy i bezruchu.

– Nam to ne vadi, milačku, co ne? – szepnęła mi do ucha Milenka.

– Maš pravdu, nam to ne vadi! – odpowiedziałem z entuzjazmem, jakiego nie czułem od kilkudziesięciu lat.

To, co teraz nastąpiło, mogło się równać z występami linoskoczków i żonglerów w jednym punkcie programu wieczoru pod kopułą Cirque de Soleil. Na oczach oniemiałych czarnuchów daliśmy pokaz najbardziej wyszukanych figur erotycznych, od spokojnych, klasycznych, do perwersyjnych i wyuzdanych. Dwóch starannie unikałem: misjonarskiej, mogłaby wywołać jakieś nieprzyjemne asocjacje i „na pieska", a to już, ze względu na Szurę – Milenkę, było kwestią taktu i dobrego smaku.

Ale to, co widziała czarna gawiedź i jak na to reagowała, a trzeba otwarcie powiedzieć, że dalece niestosownie i nieprzyzwoicie, było niczym w porównaniu z tym, co działo się w naszych oszalałych ze szczęścia duszach i sercach. Nasze

intymne dialogi dorównywały lirykom Anakreonta i Safony, Horacego i Owidiusza, a w chwilach szczytowych najśmielszym erotykom baroku. W chwilach wytchnienia, gdy leżeliśmy wyczerpani, nieomal omdlali z rozkoszy, szeptała mi do ucha najczulsze wyznania.

Zdradziła mi największe psie tajemnice, np. że psy rozumieją wszystkie ludzkie języki i umieją nimi mówić, ale nie przyznają się do tego ludziom, w obawie o swoją niezależność, a w zasadzie o byt! Pan, który wiedziałby, że jego pies mówi, musiałby się liczyć z tym, że może się on gdzieś nieopatrznie wygadać, na przykład przy psie policyjnym i już by były kłopoty! Rakarz już by zacierał ręce!

Inny sekret: psy mają swój język, którym się porozumiewają; mówią, a w zasadzie szepcą pyskami, ale nie słuchają uszami. Krótkie szpiczaste uszy terierów, czy wielkie, opadające jamników i bassetów to tylko dekoracja, dla upiększenia wizażu i ewentualnie słuchania mowy ludzkiej, jeśli padnie gdzieś interesujące słowo, np. *spacer*, *kość*, *obróżka*, *kot*. Uszy, które słyszą mowę psią, są u nich umieszczone pod ogonami. Często widzimy, prowadząc psa na spacer, że zatrzymuje się przy innym, znajomym lub obcym, i natychmiast obaj, czy oboje, wkładają sobie wzajemnie nosy pod ogony. Krzyczymy: Fuj! Fuj!, sądząc, że wąchają swoje brzydkie zapaszki, gdy one wtedy szepczą do siebie i kto wie czy nie naśmiewają się z naszej naiwności.

Kiedy tak szeptaliśmy do siebie czułości, odpoczywając po trudach miłosnych zmagań, zniecierpliwieni Czarni zaczęli łomotać w bębny z dziką zajadłością, a gdy to nie pomagało i nadal leżeliśmy w miłosnym omdleniu, zaczęli stosować różne sztuczki perkusyjne, np.: stukotali *Tatach! Tatach! Tatach!*, tak przebiegle imitując pociąg, że od razu wciągaliśmy nogi z torowiska, albo pukali – *Puk*, *puk*, *puk!* – a ja się nabierałem i pytałem: Kto tam? A nawet zrywałem się, żeby otworzyć drzwi.

Zaczęło świtać, zrezygnowani Czarni spakowali instrumenty, podwinęli poły fraków, rozluźnili muszki i poszli do domu. Wiedziałem, że to już koniec, oboje wiedzieliśmy. Już nic nie mówiliśmy, patrzyliśmy sobie w oczy. W jej spojrzeniu zobaczyłem tyle czułości i mądrości, tyle wszechwiedzy i empatii, jakich nigdy nie widziałem w oczach człowieka. Olśniła mnie myśl, że trzymam w ramionach najwspanialszy męski ideał miłości: wspaniałe ciało kobiece, z jego wszystkimi tajemnicami, z nieskończoną ilością niespodzianek, z labiryntem jego zakamarków, w których uwielbiam zawsze się zagubić, wszakże z głową najmądrzejszego, najczulszego, najwierniejszego i najbardziej wyrozumiałego, ale milczącego przyjaciela – psa!

Zaczęło świtać, zobaczyłem z przerażeniem, że moja cudowna kochanka niknie w oczach, więdnie jak kwiat, osypuje się, jak choinka po święcie Trzech Króli, flaczeje, jak sexlala, kiedy wypuszcza się z niej powietrze, aby spakować ją do walizki, wyjeżdżając na wakacje w Turcji. Zacząłem ją błagać:

– Szura, nie odchodź! Nie zostawiaj mnie! Milenko, lasko moje! Ne zustaviej mne'! Nebo pujdu s tebou! Pójdę z wami, zostanę psem! Obsikam każde drzewo w okolicy, nie będę kucał, jak szczeniak, będę podnosił nogę, jak stare, doświadczone psisko, podniosę ją tak wysoko, jak jeszcze nigdy żaden pies nie podniósł i wyceluję nią w niebo.

To będzie mój krzyk, moje wyzwanie: – Panie, wielki w swoim dziele, dlaczego nie spróbowałeś krzyżówek?! Dlaczego tak dbałeś o dyscyplinę swoich form?! Dlaczego nie byłeś bardziej awangardowy, prowokujący mieszczańskie gusta?! Dlaczego wolałeś być zachowawczy? Bałeś się, co powiedzą ludzie?

Czy ludzie to naprawdę najważniejsza wyrocznia?! A może rybom by się podobało, że mogą mówić, a przynajmniej śpiewać, a pełzającym gadom, że mogą pisać paszkwile lub liryki włoskie? Albo dać niedźwiedziom umiejętność pędzenia piwa na miodzie podbieranym w dziuplach dzikim pszczołom? Albo zagwarantować tymże pracowitym pszczółkom jeden wolny dzień w tygodniu, już nie mówię – weekend, urlop macierzyński, czy wczasy pracownicze?! Tak, kiedy stanę się psem, a ty Panie, pozwolisz, żebym zachował zdolność komunikowania się z mediami, stanę się rzecznikiem spraw obywatelskich nie tylko ludzi, ale i zwierząt, wszystkich żywych istot, które tak pięknie stworzyłeś, Panie!

Krzyczałem to głośno, wykrzykiwałem w milczące niebo bluźniercze oskarżenia w zapamiętaniu, w uniesieniu. Łzy ciekły mi po twarzy, wielkie, jak rajskie winogrona, gorące, wypalające mi na policzkach bolesne rany, bąble po oparzeniach, ale tego nie czułem, bo nie czułem już swego ciała, byłem już tylko duchem, który gotów jest rozpłynąć się w nicości, w nieskończoności.

Obudziło mnie zajadłe stukanie, walenie ze wszystkich stron w ściany, w podłogę, w sufit. Widocznie mój krzyk, moje natchnione wołanie w niebo zerwało z łóżek sąsiadów i zaczęli teraz, na wyprzódki, walić z wściekłości na mnie, czym popadnie i w co się da: miotłami, tłuczkami do mięsa, flaszkami, okularami.

Wstałem z łóżka, założyłem szlafrok i cichutko, na palcach, czyniąc wokół przepraszające, uspokajające gesty ruszyłem do kuchni. Nie mogli ich zobaczyć, ale mogli wyczuć, domyślić się, a jednak nadal stukali, dając dowód swego prostactwa i braku kultury.

W kuchni napiłem się wody i przysiadłem na taborecie, aby przemyśleć to, co przeżyłem. Powoli stygłem tak cieleśnie (bo obudziłem się spocony i rozpalony), jak i duchowo, coraz bardziej pragmatycznie spoglądając na summę moich nocnych przeżyć.

– Pomyśl trzeźwo – zwróciłem się grzecznie do siebie – w nocy OK, ale w dzień?! Co z tego, że cudownie wam się śpi ze sobą, ale jak będzie w dzień? Będzie miała miskę na podłodze, posłanko w kącie, obrożę i smycz na spacery? A co zrobisz, jak przyjdzie listonosz i ona przymuszona odwieczną, internacjonalną nienawiścią psów do listonoszy, rzuci się mu do gardła?! Tak, niestety w jasnym świetle dnia,

cud tej nocy zaczął wykazywać rożne mankamenty w kwestiach może przyziemnych i trywialnych, ale czyż życie nie jest trywialne?

Stygłem, trzeźwiałem, przeszedłem do salonu, odsłoniłem okna, Kartezjusz spojrzał na mnie ze sztychu na ścianie i chyba nawet mrugnął. Słońce śpieszyło się, aby ustawić się wyżej i objąć swymi promieniami coraz większe obszary świata, zapowiadał się piękny dzień. Spojrzałem na moją nową laskę i pomyślałem, że zachęca mnie do porannego spaceru. Zgodziłem się na jej propozycję, włożyłem prochowiec i z przyjemnością ująłem w dłoń srebrna jaszczurkę. Usłyszałem jej cichy szept:

– Pójdziemy szeroką aleją, aż do serca parku. Odprężysz się, odpoczniesz, uspokoisz. Będę milczała.

Warszawa, marzec 2020

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

Do jutra

brzmi ładnie dziękuję ale jutra
ma nie być

nie będzie jutra
i nigdy nie było

było wczoraj i pamiętam
że było w nim dzisiaj

zimno suchej wody

i jest ta rzeka
do której nie wchodzę
bo jestem w niej już od wczoraj
przedwczoraj

a ona mi płynie
do źródła
na przekór i skroś

Początek wieczności

a gdyby to w tej chwili zaczęła się wieczność
czas się zmarszczył wiadomo o której godzinie
i pod jakąś datą ale my tej chwili
byśmy nie dostrzegli
nie zadzwoniłby budzik

gdyby miała nie nadejść godzina by zwrócić
klucze do hotelu jechać na lotnisko
i nie trzeba odlecieć tylko najzwyczajniej
nie byłoby po co tutaj nie pozostać

gdyby metafora miasta w którym jestem
wyprzedziła jego przetrwanie w tym życiu
żyłbym na wieki nie wiedząc że wieczność
nie jest bezwzględnym warunkiem istnienia

i może nauczyłbym się w końcu fruwać
bo lot by nie trwał trzy sekundy bezkresne
tylko trzy krótkie drobinki wieczności
do dna

Się czuję

tu powinno chodzić
znacznie o coś więcej

o sprawę

o nieskończenie
ostateczne zbawienie

samorodek światła
czy rudę powietrza

o coś
co jeszcze w wodach mamy podrywa
serce do życia
i przez całe to życie jest potem twoją matczyną
ojczyzną

o coś co sprawia
że w pewnych historiach
znajdujesz ten dom który nosisz już w sobie

o coś co w milczeniu nienatrętnym głosem
gwieździstego nieba
uderza w klawisz
prawdy i dobroci

tak

powinno chodzić o coś więcej
a wszędzie
chodzi tylko o jedno

o to
jak się czujesz

bez względu na to jak się czujesz teraz
i czy z urodzenia
czy przez bieg przypadków